Tom Godwin

Barbarzyńcy

(The Barbarians)

If, December 1955
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Kara śmierci naruszała podstawowe prawa Tharnar. Ale niebezpieczeństwo było zbyt duże… Czy Terranie nie mogą przeżyć, niezależnie od okoliczności?

Tal-Karanth, Najwyższy Zarządca Tharnar, podpisał dokument i wrzucił go do otworu wyjściowego tuby systemu wysyłki wiadomości. Był to czyn, który zakończył sto osiemdziesiąt dni badania taśm i zapisów znalezionych na terrańskim statku, i ustalał on termin finalnego przesłuchania Terran, mężczyzny i kobiety, na dzień dzisiejszy.

A, ponieważ Terranie byli winni, ich egzekucja odbędzie się zanim na Tharnar ponownie wzejdzie słońce.

Podszedł do szerokiego okna, które otworzyło się automatycznie wraz z nadejściem najcieplejszych godzin dnia, i wyjrzał przez nie spoglądając na Miasto. Kiedyś Miasto miało swoją nazwę, którą można było nawet znaleźć w książkach i na taśmach historycznych, ale już od pięćdziesięciu tysięcy lat znane było jako Miasto. Było to miasto miast, centrum i dusza tharnariańskiej cywilizacji. Było to miasto pełne przykładów pięknej architektury, wspaniałych ukwieconych ogrodów i efektownych parków. Miasto pięciuset wieków nauki, miasto wiecznego pokoju.

Łagodny letni wietrzyk przyniósł przez okno słodki zapach kwitnących drzew *lana*, razem ze znajomymi odgłosami życia Miasta, które krzątało się wokół swoich codziennych, rutynowych spraw; odgłosy spokojne i nieśpieszne, brzmiące jak powolny szept. Pokój od pięciuset tysięcy lat; pokój i nieśpieszna cierpliwość. I w Mieście będzie tak już zawsze. Najwyżsi Zarządcy w przeszłości wybierani byli pod kątem swoich zdolności do zapewnienia Miastu bezpieczeństwa, tak samo było i z nim.

Odwrócił się od okna i podszedł do biurka. Przesunął dłonią po jego błyszczącym, metalowym blacie. Eternstopowej powierzchni nie mąciła nawet najmniejsza rysa, chociaż to biurko stało już w tym miejscu od ponad trzydziestu tysięcy lat. Było czymś stałym, nigdy nie ulegającym zmianie, jak flota zrobotyzowanych statków, która strzegła bezpieczeństwa Tharnar, jak biały, ogromny Gmach Zarządców, jak styl życia na Tharnar.

Terranie musieli umrzeć dlatego, aby nie został zniszczony pokój i styl życia na Tharnar. Byli jeszcze bardzo młodą rasą, tak młodą, że jego biurko stało już na swoim miejscu od piętnastu tysięcy lat, kiedy oni zaczęli dopiero wyłaniać się ze swoich jaskiń. Byli rasą niebezpiecznie niedojrzałą; minęło dopiero trzysta lat od czasów, kiedy toczyli ostatnie wojny między sobą. Trzysta lat – trzy normalne długości życia Tharnarianina. A Tharnarianie nie toczyli wojen od sześciu tysięcy pokoleń.

Tak młoda rasa, nie mogła jeszcze wypracować prawdziwie rozwiniętej cywilizacji. Terranie byli – przez chwilę szukał odpowiedniego określenia –

barbarzyńcami w statkach kosmicznych. Brakowało im wyrafinowania i mądrości Tharnarian; byli niebezpieczną i nieprzewidywalną rasą. Widać to było ewidentnie po ich własnej historii; widać to było również w sposobie, w jaki Terranie zareagowali na ich schwytanie.

Nacisnął jeden z wielu przycisków rozmieszczonych wzdłuż krawędzi biurka i przez jego oczyma pojawiła się trójwymiarowa projekcja; Scena, która miała miejsce sto osiemdziesiąt dni temu, kiedy Terranie zostali sprowadzeni na powierzchnię Tharnar.

Statek Terran stał jak jasno świecąca, srebrzysta igła, prezentując się smukle i zgrabnie na tle potężnej masy znajdującego się za nim Gmachu Zarządców. Terranie zeszli po rampie pokładowej, lewy nadgarstek mężczyzny, przykuty był do prawego nadgarstka dziewczyny. Za nimi maszerowały dwa uzbrojone roboty, z metalowymi niewzruszonymi twarzami, zaś czterech tharnariańskich strażników czekało u stóp rampy, aby pomóc w doprowadzeniu Terran do miejsca ich uwięzienia.

Terranie podeszli do strażników z czujnością, przypominającą mu stare filmy o nadbrzeżnych wilkach, które kiedyś żyły na Vendal. Ich sposób chodzenia, nie przypominał wystudiowanego, wyćwiczonego, rozluźnionego i leniwego kroku Tharnarian, ale jak gdyby emanowała z niego jakaś skryta witalność, ledwie utrzymywana pod kontrolą. Twarz mężczyzny była szczupła i twarda, czarne oczy spoglądały nieprzeniknione jak kamień. Dziewczyna patrzyła na strażników ze śmiałą nonszalancją, tak jakby w ogóle nie uważała ich za strasznych. W kontraście do Terran, strażnicy jakoś wydawali się postaciami nie tyle ponurymi i czujnymi, co jedynie bezbarwnymi.

W sposobie w jaki mężczyzna spoglądał na strażników, wydawała się kryć jakaś groźba. Odnosiło się wrażenie, że gdyby tylko pojawił się cień szansy, mógłby bez trudu ich pokonać i przechwycić ich broń. Zaś dziewczyna – co ona by wtedy zrobiła? Czy skoczyłaby do jego boku aby mu pomóc, tak jak samice nadbrzeżnych wilków zawsze pomagały swoim partnerom?

Wyłączył projekcję, czując lekką niechęć do myśli o skazaniu na śmierć Terran. Byli oni przecież żyjącymi, inteligentnymi istotami, pomimo ich braku kultury. Byłoby mu znacznie łatwiej, gdyby ich postać fizyczna była jakaś odpychająca i obca, na przykład coś w rodzaju napuchłych, wielonogich insektów. Ale trudno było w ogóle określić ich jako odpychających; wyglądali dokładnie tak jak Tharnarianie.

Dokładnie?

Pokręcił przecząco głową. Nie dokładnie. Podobieństwo było jedynie z wyglądu – a nawet nie z wyglądu, jeśli im się dokładniej przyjrzeć, jak stwierdził, patrząc na ich obraz. Wokół nich unosiła się jakaś aura potencjalnej przemocy, czająca się tuż pod ich zwodniczo tharnariańskim wyglądem. Tak naprawdę Terranie nie byli tacy sami jak Tharnarianie. Między nimi istniała różnica pięćdziesięciu tysięcy lat; różnica miedzy dzikimi barbarzyńcami a wielką i pokojową cywilizacją.

Znowu powiódł wzrokiem po Mieście, słuchając jego delikatnie szepczącego głosu. Od setek wieków, Miasto nie znało gwałtu ani

przemocy. Ale co się stanie, jeśli barbarzyńcy nadejdą w większej liczbie, nie we dwójkę, ale tysiącami? Co zrobią wtedy?

Pewien był, że wie, co wtedy stanie się z łagodnym, pokojowym Miastem i lekka niechęć do myśli o straceniu terrańskiego mężczyzny i dziewczyny, rozwiała się w nicość.

Bez względu na okoliczności, nie można pozwolić na to by przeżyli i opowiedzieli innym o Tharnar i Mieście.

Bob Randall przesunął się trochę w szerokim fotelu i łańcuch łączący jego nadgarstek z nadgarstkiem Virginii zagrzechotał metalicznie; w panującej w pomieszczeniu ciszy odgłos ten zabrzmiał niezwykle donośnie.

Czarne włosy Virginii prześlizgnęły jej się po policzku, kiedy odwróciła twarz ku niemu, aby spytać tak cichym szeptem, że nie mogli jej dosłyszeć nawet czterej strażnicy, stojący po obu ich bokach i za nimi:

— To już niemal koniec, co?

Skinął potwierdzająco głową i skierował swoją uwagę z powrotem na pięciu sędziów, siedzących za rzędem pięciu biurek. Bob zorientował się, że ten siwowłosy, który siedział przy środkowym biurku, był przewodniczącym całego postępowania i nazywał się Vor-Dergal. Dowiedział się tego obserwując ich uważnie oraz słuchając, i to były jedyne informacje, jakie uzyskał. Nie znał nazwisk czterech pozostałych sędziów, nie był nawet pewien, czy w ogóle byli to sędziowie ani czy to była rozprawa. Tharnarianie nie wygłosili żadnego wprowadzenia, ani udzielili im jakichkolwiek informacji.

Vor-Dergal przemówił do nich.

— W skrócie, fakty przedstawiają się następująco: Twierdzicie, że wasza misja była natury naukowej, oraz że wy dwoje zostaliście wysłani z Ziemi aby spróbować dotrzeć do centrum galaktyki, gdzie mieliście nadzieję znaleźć dane dotyczące powstania galaktyki. Na waszym statku znajdowaliście się tylko we dwójkę, oraz że jest to tylko jeden z kilku tego typu statków wysłanych w kosmos na podobne misje. Ponieważ wyprawy takich małych statków eksploracyjnych mogą trwać nieokreśloną z góry liczbę lat, a ponadto ich pasażerowie przez te wszystkie lata muszą być w stanie znieść swoje towarzystwo, wobec tego wasz rząd zdecydował, że lepiej będzie, jeśli załoga każdego ze statków składać się będzie z mężczyzny i kobiety, niż z dwóch mężczyzn.

Dostrzegł, że policzek Virginii lekko zadrżał na te słowa, ale udało mu się utrzymać uśmiech na twarzy.

— W trakcie tej podróży, natknęliście się na nasz układ — kontynuował Vor-Dergal. — Nieco zboczyliście z kursu, żeby przebadać naszą siostrzaną planetę, Vendal. I tam, zanim dolecieliście do Vendal, napotkaliście statek strażniczy, który do was wystrzelił. Zamiast zawrócić, zniszczyliście go adaptując wasz laser wąskopasmowy dezintegratora meteorów.

Vor-Dergal zawiesił głos, oczekując na odpowiedź i Bob oświadczył:

— Nasze przyrządy wykazały, że statki strażnicze były sterowane przez roboty. Nie zarejestrowały na nich niczego organicznego, niczego co by

żyło. Te same przyrządy, wskazywały, że na planecie, na Vendalu, znajdowały się działające kopalnie i fabryki, nie było jednak organicznego życia, poza małymi zwierzętami. Zdawaliśmy sobie sprawę, że maszyny z własnej woli ani nie zbudują fabryk, ani nie będą reprodukować innych maszyn, a jednak kopalnie i fabryki funkcjonowały. Pomyśleliśmy, że to może być planeta, której wszyscy mieszkańcy wymarli z jakiegoś powodu i roboty nadal wykonują polecenia produkcyjne, wydane im kiedy ta rasa jeszcze żyła.

— A więc rozmyślnie zniszczyliście statek strażniczy, który miał was zawrócić?

— Tak, zrobiliśmy to. To była maszyna, obsługiwana przez maszyny. I, jak wtedy sądziliśmy, chroniła ona rasę, która wymarła tysiące lat wcześniej. To wszystko było bardzo tajemnicze, chcieliśmy więc znaleźć wyjaśnienie tego co się działo.

Vor-Dergal i pozostali przyjęli wyjaśnienia bez zmiany wyrazu twarzy. Przewodniczący ponownie podjął wątek:

— Gdy byliście w pobliżu Vendala pojawiły się trzy kolejne statki. W bitwie, która się wywiązała, poważnie uszkodziliście jeden z nich. A kiedy wasz statek w końcu został pochwycony w sieć promieni ściągających krążownika strażniczego, stawiliście opór robotom. Po ich wejściu na pokład waszego statku, zniszczyliście kilka z nich i zostaliście zmuszeni do posłuszeństwa dopiero wtedy, gdy przedziały waszego statku zostały wypełnione gazem obezwładniającym.

— Tak, to prawda — potwierdził Bob.

— A więc, reasumując: Celowo najechaliście tharnariańskie terytorium, celowo zniszczyliście i uszkodziliście tharnariańskie statki oraz wylądowalibyście na Vendalu, gdyby statki strażnicze temu nie zapobiegły. Wasza wina jest więc niewątpliwa i potwierdzona. Czy są jakieś okoliczności łagodzące, które nie zostały przedstawione podczas tego przesłuchania?

— Nie — odparł Bob.

W ciągu tego całego czasu nie zostały przedstawione żadne okoliczności, ponieważ nie było żadnego czynnika, który mógłby zostać uznany przez Tharnarian za łagodzący.

— Wasza wina była oczywista od samego początku — powiedział Vor-Dergal. — Spędziliśmy ostatnie sto osiemdziesiąt dni na studiowaniu książek i taśm na waszym statku. To, czego dowiedzieliśmy się na temat waszej historii oraz formy cywilizacji, nie pozostawia nam innego wyjścia, co do wyroku, jaki musi zostać na was wydany.

Łańcuch lekko zabrzęczał, kiedy Virginia uniosła dłoń i położyła na ramieniu Boba, rzucając mu szybkie spojrzenie, które mówiło: „Oto, nadchodzi!"

Vor-Dergal wygłosił nałożony na nich wyrok:

— Jutrzejszego poranka, o godzinie trzydziestej trzeciej dwanaście, oboje poniesiecie śmierć, rozstrzelani przez zrobotyzowany pluton egzekucyjny.

Oddech Virginii urwał się na chwilę i jej dłoń uchwyciła ramię mężczyzny z nagłą siłą, ale nie okazała żadnych innych oznak emocji, a jej wzrok, wbity w twarz Vor-Dergala, nawet nie zadrżał.

Vor-Dergal spojrzał na stojących koło niej strażników.

— Odprowadzić skazanych do ich celi.

Strażnicy wyciągnęli inny łańcuch, którym połączyli ich wolne ręce za plecami i przeprowadzili więźniów przez całe pomieszczenie, a następnie za drzwi.

Na dworze słońce właśnie zachodziło, już było niewidoczne, schowane za nisko wiszącymi chmurami. Bob próbował obliczyć zaplanowany czas ich egzekucji w odniesieniu do czasu terrańskiego, jaki miał na swoim zegarku, i określił, że godzina trzydziesta trzecia dwanaście, to powinno być mniej więcej połowa okresu między pierwszymi oznakami świtu i wschodem słońca.

Tal-Karanth stał przy otwartym oknie przyglądając się jak strażnicy odprowadzają Terran z powrotem do ich celi. Aby zapobiec najmniejszej nawet możliwości ucieczki, na tę noc, wewnątrz i na zewnątrz budynku więzienia zostali rozmieszczeni dodatkowi strażnicy, zarówno roboty jak i Tharnarianie. Kolejne roboty pełniły straż przy terrańskim statku, chociaż wydawało się trudnie do pojęcia, by obcy mogli w jakiś sposób pokonać strażników w więzieniu i dotrzeć do swojego statku.

Ale równie niepojęte było, że tak mały statek jak terrański mógłby zniszczyć tharnariański krążownik strażniczy. Adaptacja obwodów lasera wąskopasmowego dezintegratorów meteorów, była doprawdy czymś genialnym.

Dlaczego krążowniki Tharnarian nie miały takiej samej broni? Wyposażone były przecież w systemy dezintegracji meteorów generalnie tego samego typu; identyczna adaptacja tych obwodów, mogła przekształcić dezintegratory tharnariańskich krążowników w straszliwą broń. Dlaczego nikt nawet nie pomyślał o tym, żeby zrobić coś takiego? Dlaczego przez pięćdziesiąt tysięcy lat przyjmowano jako pewnik, że blastery krążowników stanowią ostateczny poziom rozwoju uzbrojenia?

Jaką inną broń mogli więc posiąść Terranie na Ziemi? Jak potężne mogą być ich krążowniki, jeżeli jeden mały statek eksploracyjny zdołał zniszczyć tharnariański krążownik?

Pojmanym Terranom absolutnie nie można pozwolić na powrót na Ziemię i powiadomienie innych o istnieniu Tharnar. Nie można było też podjąć ryzyka pozostawienia ich przy życiu, nawet po umieszczeniu Ziemian w więzieniu na Tharnar. Pewnego dnia, kiedyś, mogliby uciec i wrócić na Ziemię, albo wysłać na Ziemię jakąś wiadomość. Zrobotyzowana flota Tharnar nigdy nie zdołałaby się oprzeć atakowi floty terrańskiej; los Tharnar i spokojnego, łagodnego Miasta, zostałby wypisany krwią, pyłem i popiołami.

Z oddali doleciały odgłosy podgumowanych metalowych stóp i zobaczył jak kolejne sześć robotów maszeruje, aby zwiększyć liczbę strażników

pilnujących już terrańskiego statku. Sam statek znajdował się nie aż tak daleko od Gmachu Zarządców; na tyle blisko, aby jego oczy, ciągle bystre pomimo skończonych siedemdziesięciu lat, były w stanie odczytać wymalowaną na nim nazwę: *Kot*.

Kot. Zaś kot był to – przypomniał sobie definicję, którą znalazł w jednej z terrańskich książek – *jeden z wielu różnorodnych gatunków mięsożernych zwierząt drapieżnych, znanych ze swojej skrytości, szybkości oraz zaciekłości, jeśli zostaną rozdrażnione*.

Robot wsunął plastikową tacę z jedzeniem pod drzwiami celi i odszedł z powrotem korytarzem. Virginia odwróciła się od jedynego okienka, w którym można było jeszcze dostrzec *Kota* odbijającego się jaśniejszą sylwetką w gęstniejącym zmroku.

— Ostatnia wieczerza, Bob — powiedziała do niego. — Jedzmy, pijmy i weselmy się.

Poszedł do drzwi, wziął tacę i spostrzegł trzy roboty i dwóch tharnariańskich strażników, rozstawionych wzdłuż lewej strony korytarza i taką samą liczbę pilnujących, wzdłuż prawej. Virginia stanęła u jego boku i stwierdziła:

— Nie dają nam żadnej szansy, żebyśmy zniknęli stąd przed jutrzejszym porankiem, co?

— Nie – odparł. — Nie ma o czym mówić.

Przeniósł tacę na mały stolik stojący na środku pomieszczenia, a Virginia usiadła naprzeciw niego, podobnie jak to było podczas wszystkich posiłków, które zjedli w trakcie ostatnich sześciu miesięcy. Zaczęła jednak bawić się plastikową łyżką, zamiast od razu zabrać się do jedzenia.

— Zastanawiam się, dlaczego chcą to zrobić przy pomocy plutonu egzekucyjnego? — spytała. — Można by się spodziewać, że powinni użyć czegoś ultra-cywilizowanego i wyrafinowanego, jak na przykład jakiś bezbolesny i pachnący kwiatami gaz.

— Szpiedzy byli traceni przez plutony egzekucyjne podczas ostatniej wojny na Terrze, trzysta lat temu — zauważył. Krzywo się uśmiechnął. — Przypuszczam, że uznali nas za szpiegów, i chcą byśmy jutro rano poczuli się jak w domu.

— Cieszę się, że tak to się odbędzie. Nie chciałabym, aby to się stało w jakimś zamkniętym pomieszczeniu… raczej wolę być wtedy pod otwartym niebem. — Tym razem mocno ją zainteresował brzeg stojącej przed nią tacy. — Nigdy nam nie powiedzieli dlaczego, Bob. Właściwie, to nic nam nie powiedzieli, tylko tyle, że nie mają innego wyjścia. Nie skrzywdziliśmy żadnego Tharnarianina; zniszczyliśmy tylko jeden z ich statków i parę ich robotów.

— Naruszyliśmy ich poczucie bezpieczeństwa, a raczej pokazaliśmy im, że w ogóle nie są bezpieczni. Wydaje mi się, że oni się boją ataku ze strony Ziemi.

— Nic nam nie powiedzieli — powiedziała ponownie. — Zachowują się tak, jakbyśmy byli zwierzętami.

— Nie — zaprotestował, — nie wydają się mieć zdecydowanej opinii na temat naszego niskiego miejsca na skali rozwoju społecznego.

Zmusił się do jedzenia, jak ktoś kto wie, że ciało potrzebuje pokarmu, aby mogło wykorzystać każdą możliwą okazję do ucieczki, nawet jeśli umysł przepełnia ponura pewność, że takiej okazji nie będzie.

— Powinnaś trochę zjeść, Ginny — powiedział.

Spróbowała, ale poddała się po kilku kęsach.

— Chyba po prostu nie jestem głodna… a przynajmniej nie teraz — stwierdziła. Spojrzała w pociemniałe okno, w którym *Kot* stał się już niewidoczny. — Jak długo jeszcze zostało do świtu, Bob?

Popatrzył na zegarek.

— Siedem godzin.

— Siedem godzin? — W jej głos wkradł się cień smutku. — Wcześniej nigdy nie zauważyłam, jak krótkie są tutejsze noce.

Robot położył na biurku zamówione przez Tal-Karantha materiały, zapisy i taśmy z terrańskiego statku, a następnie wyszedł. Tal-Karanth westchnął ze zmęczeniem, kiedy włożył pierwszą taśmę do rzutnika, zastanawiając się znowu czemu odczuwał jakieś niewyraźne, mgliste niezadowolenie i dlaczego miał nadzieję znaleźć na nie odpowiedź w materiałach ze statku Terran. To była praca na całą noc – i nie za bardzo się spodziewał, że może odkryć coś więcej, niż wiedział już teraz. Tharnar przestało być bezpieczne i groźba wykrycia przez Terran w kolejnych latach była czymś realnym, zaś wiara we flotę robotów, jedynie iluzją.

Zanim uruchomił rzutnik, połączył się ze swoją córką.

Pojawił się przed nim obraz Thralny, spoczywającej w pozycji półleżącej na kozetce, podczas gdy dwa roboty zajmowały się pielęgnacją paznokci palców u jej rąk. Podniosła się nieco, kiedy jego obraz pojawił się przed nią i roboty odsunęły się o krok do tyłu.

— Tak, Ojcze? — spytała.

Czekała aż odezwie się do niej, szare oczy i atramentowo czarne loki obramowujące młodą twarz, nadawały jej wyraz delikatnego piękna. Przez chwilę kogoś mu przypominała; kogoś znacznie bardziej dojrzałego i silniejszego…

Z uczuciem zbliżonym do wstrząsu, uświadomił sobie, że jego córka przypominała mu tę terrańską dziewczynę; że z tej dwójki, to Terranka zdawała się być kimś bardziej dojrzałym, chociaż Thralna miała już dwadzieścia osiem lat, a dziewczyna z Ziemi tylko dwadzieścia jeden. Miały takie same szare oczy i czarne loki, podobny kształt krzywizny twarzy, podobnie cienkie, a zarazem pełne wargi.

Ale podobieństwo między nimi było tylko przypadkowe. W pięknie Thralny widać było wdzięk i łagodność; wdzięk i łagodność będące efektem pięćdziesięciu tysięcy lat cywilizacji. Za powierzchownym pięknem barbarzyńskiej dziewczyny, stała jedynie zwierzęca witalność i potencjalna przemoc…

— Tak, Ojcze? — ponownie spytała Thralna, swoim starannie wymodulowanym głosem.

— Thralno, czy dzisiejszego wieczora wybierasz się do teatru?

— Tak. Dzisiaj wystawiają sztukę D'ret-Thona i podobno ma być ona równie dobra, jak jedna z klasycznych. Czemu pytasz, Ojcze?

— Połączyłem się z tobą, by ci powiedzieć, że dzisiaj w nocy będę pracował do późna. Być może wrócę do domu dopiero rano.

— Nie możesz kazać tego zrobić jakiemuś robotowi?

— Nie. Muszę tym się zająć sam, osobiście.

— Czy to ma coś wspólnego z tą parą obcych?

— Tak.

Na jej czole pojawiła się lekka zmarszczka niepokoju, ale szybko zniknęła. Szczupłe palce dziewczyny na chwilę dotknęły skóry w tym miejscu, aby rozmasować najdrobniejsze ślady zmarszczek, a potem powiedziała:

— To będzie taka ulga, kiedy w końcu ich się pozbędziemy. Już na samą myśl, że mogliby uciec i wydostać się do Miasta, czuję prawdziwe przerażenie. Jesteś pewien, że nie zdołają uciec, Ojcze?

— Nie ma najmniejszej możliwości, aby uciekli — odparł. — Możesz spokojnie ruszać z realizacją swoich planów na ten wieczór. Czy po zakończeniu przedstawienia wracasz od razu do domu?

— Nie od razu. Po teatrze Kin zabiera mnie na tańce.

— Tam gdzie byłaś ostatnim razem? W tym miejscu gdzie ożywia się stare tańce?

— Nie. Tam już nikt nie chodzi. Te stare tańce były nawet zabawne, ale one były takie… takie męczące. Wiesz przecież, że nasze nowoczesne tańce są dużo wolniejsze i bardziej eleganckie.

— No dobrze, Thralna — powiedział na pożegnanie. — Dobrej zabawy.

— Dziękuję, Ojcze.

Ponownie rozłożyła się wygodnie na kozetce i kiedy wyłączał obraz, jej oczy właśnie się zamykały. Zanim uruchomił włożoną do projektora taśmę, przez chwilę siedział, rozpamiętując rozmowę z córką i niemal namacalnie czując narastające wrażenie, że właśnie wykrył jeszcze jedno zagrożenie dla Tharnar.

Virginia wyglądała przez okno i przysunęła dłoń do czoła, aby osłonić oczy.

— Ten kawałek miasta, który stąd widać jest cały jaskrawo oświetlony — powiedziała, — ale na ulicach nie ma nikogo. Tylko parę robotów. Wszyscy ludzie w tym mieście, muszą być w łóżkach.

— Tak samo było to podczas wszystkich poprzednich nocy — odparł. — Wcześnie kładą się do łóżek i późno z nich wstają. To stara rasa. Zastanawiałem się kiedyś co oni robią dla zabicia czasu. Ale to co robią teraz, to jest to, co ty również powinnaś zrobić – odpocząć.

Odwróciła się od okna.

— Nie jestem senna. Ciągle myślę o *Kocie*, czekającym na nas tam na zewnątrz, i o tym, że może udałoby nam się do niego dostać, gdybyśmy tylko jakoś zdobyli blaster.

— Czego i tak nie możemy spróbować, zanim rano nie przyjdą po nas do celi. Chwila odpoczynku teraz, może wtedy bardzo wiele znaczyć.

— No dobrze, Bob. — Podeszła i usiadła obok niego na pryczy. — Która jest teraz… ile nam jeszcze zostało czasu?

— Około trzech godzin.

Pochyliła nad nim głowę, a on otoczył ręką jej ramiona.

— Wydaje mi się, że jestem trochę zmęczona — powiedziała. — Ale nie każ mi teraz iść spać.

— W porządku, Ginny.

— To tylko trzy godziny i jeżeli jutro rano nie będziemy mieli szczęścia, to nie będzie już ani chwili więcej. A gdybyśmy jednak tego szczęścia nie mieli, to nie chcę zmarnować naszych ostatnich trzech godzin.

Tal-Karanth ponownie stał przed oknem i obserwował jak Miasto śpi w ciemnościach tuż przed świtem. Ilu ludzi spało dzisiejszej nocy w Mieście? Kiedyś mieszkało w nim ponad trzy miliony obywateli, ale każdy spis ludności pokazywał, że populacja staje się coraz mniejsza. Pięć lat temu było to nieco mniej niż milion – dwie trzecie miasta było więc tylko piękną skorupą, zamieszkałą wyłącznie przez zajmujące się nią roboty.

Co było nie tak? I dlaczego nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że w ogóle coś było nie tak?

Wrócił do swojego biurka, gdzie materiały z Terry pokrywały cały eternstopowy blat i usiadł za nim. Był zmęczony i krańcowo sfrustrowany. Tharnar stał przed poważnym zagrożeniem i nikt nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Przybycie barbarzyńców otworzyło mu oczy na błędny charakter koncepcji pokładania wiary we flocie robotów, ciągle jednak pozostawało to drugie zagrożenie. A w przypadku tego świeżo odkrytego problemu flota robotów będzie jeszcze bardziej bezradna niż byłaby w obliczu ataku terrańskich statków.

Wcisnął przycisk i pokój wypełniła muzyka, muzyka która wcześniej zawsze niosła mu ukojenie i odpoczynek, ale teraz brzmiała płasko i banalnie w porównaniu rytmiczną barbarzyńską muzyką, jakiej słuchał tej nocy. Wyłączył ją po chwili.

Co było z nią nie tak? Była to jedna z ostatnich kompozycji; jedna z tych, które zostały okrzyczane jako niemal równie dobre jak te klasyczne.

Niemal równie dobre… Jak sztuka, na której była Thralna, jak wystawy malarskie, rekordy sportowe, odkrycia naukowe, jak wszystko w Mieście i na Tharnar. Niemal równie dobre – ale nigdy aż tak dobre, jak były one pięćdziesiąt tysięcy lat temu.

Czy to była część odpowiedzi?

Nie… nie część odpowiedzi. Część problemu, część zagrożenia znacznie większego niż barbarzyńska inwazja. Nie widział dla tego problemu żadnego rozwiązania. Tharnarianie coś utracili pięćdziesiąt tysięcy lat

temu i nie był pewny, ani co to było, ani w jaki sposób można by to im przywrócić.

Wcisnął przycisk, który powinien połączyć go z oficerem służb bezpieczeństwa Ten-Quothem. Z dwóch stojących przed nim problemów, w jego mocy było zajęcie się bezpośrednio najbliższą fazą pierwszego z nich; dokonanie finalnej autoryzacji wyroku śmieci na Terranach.

Bob spojrzał ponownie w okno, które pojaśniało i zmieniło się w blado-szary prostokąt. Na dworze już od pewnego czasu panował przedświt; nie pozostało już wiele czasu, do chwili kiedy przyjdą po nich strażnicy. Virginia w końcu zasnęła, bardziej zmęczona niż jej się to wydawało, i spała z głową wtuloną w jego ramiona oraz oparta na jego obejmującej ją ręce. Powoli rozprostował nogi, nie chcąc by zdrętwiały mu z braku krążenia kiedy przyjdą strażnicy, nie chcąc również budzić Virginii do tej ponurej rzeczywistości ani chwili wcześniej niż było to konieczne.

Ten delikatny ruch jednak wystarczył. Otworzyła zaspane oczy, ale senność uleciała pod naporem nieustępliwego uderzenia wspomnień i wracającej świadomości. Spojrzała na szare okno i spytała:

— Jak długo jeszcze?

— Kilka minut.

— Szkoda, że pozwoliłeś mi zasnąć.

— Byłaś bardzo zmęczona.

— Nie chciałam zasnąć… wydawało mi się, że nie zdołam. — Po tych słowach zmieniła temat, jak gdyby nie chcąc wpaść w zbytni sentymentalizm. — Jak widzę, robot po tacę już się nie pojawił. Zostawimy im bałagan w pokoju, co? Tak sobie myślę, czy oni wydezynfekują tutaj wszystko po naszym odejściu, żeby się upewnić, że jest naprawdę czysto? Wiesz — lekko się uśmiechnęła — pchły i tego typu rzeczy.

Uniosła głowę, aby pocałować go w policzek, a potem wstała i podeszła do okna.

— Jest pochmurno — zauważyła. — Na dworze wisi mgiełka siąpiącego deszczu i niebo jest zachmurzone. Wydaje mi się, że jest już trochę później niż myśleliśmy.

Podszedł do okna by stanąć koło niej i zobaczył, że poranek jest już rozjaśniany słońcem świecącym spod linii horyzontu, za pokrywą szarych chmur.

— Spójrz jak tam stoi i na nas czeka – *Kot* — wskazała ręką.

Popatrzył na statek, srebrzysto-biały w szarym poranku, błyszczący od deszczu, a jego smukłe, dynamiczne linie sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili mógł rzucić się z rykiem i pomknąć w niebo.

— To piękny statek — powiedziała. — Ciekawe co oni z nim zrobią, kiedy już…

Z drugiego końca korytarza doleciał do nich jakiś odgłos; wyszczekana po tharnariańsku komenda. Po wydanym rozkazie rozległ się natychmiast

odgłos zbliżających się do celi kroków; ciężkich kroków robotów i lżejszych, bardziej delikatnych kroków strażników.

Virginia odwróciła się od okna i oboje stanęli twarzami do wejścia celi, czekając na dalszy rozwój wypadków.

— To jest to — powiedziała.

— Czy bardzo się boisz, Ginny?

— Boję się? — zaśmiała się do niego, śmiechem, który był tylko nieco za spokojny. — To jest jak sztuka, rozgrywająca się w dawnych czasach na Ziemi. Kawa i pistolety o świcie. Tylko nie wydaje mi się, żeby przynieśli nam kawę, a jeśli dostanę do ręki pistolet, wezmę ze sobą przynajmniej jednego z nich.

— Pamiętaj, do samego końca jest jeszcze nadzieja… i może uda nam się jakoś zmienić zakończenie tej sztuki, nie do końca po ich myśli.

— Będę cię obserwować, Bob, więc może uda mi się jakoś ci pomóc, kiedy podejmiesz próbę.

Tharnariańscy strażnicy zatrzymali się pod drzwiami celi, z blasterami w dłoni. Jeden z nich otworzył drzwi i dwa roboty weszły do środka. Strażnicy zamknęli wielkie drzwi za robotami, w tej samej chwili kiedy znalazły się one w celi. Roboty nie miały blasterów, nie miały nic poza trzema kompletami kajdan.

Dowódca Tharnarian wydał spoza drzwi rozkaz:

— Oboje odwróćcie się twarzami do okna, z wyciągniętymi do tyłu rękoma.

Bob nie wykonał go od razu, tylko najpierw ocenił sytuację. Roboty, były to masywne maszyny – ważyły ponad sześćset funtów, ich metalowe ciała odporne były na wszelkiego rodzaju ataki, jakie mógł wykonać przy pomocy gołych rąk. Ale była jedna szansa na tysiąc, gdyby udało mu się wziąć pierwszego robota z zaskoczenia pchnąć go jakoś i przewrócić, tak by wpadł w drzwi. Jego waga mogła być dostatecznie duża, aby wyłamać w nich zamek.

Uderzył ramieniem w robota, wkładając w ten atak całą swoją siłę i wagę, a niewielkie ciało Virginii uczyniło to chwilę później.

Ale odbili się, jakby od kamiennej ściany. Robot zachwiał się tylko przez króciutką chwilę, a potem wyrzucił nogę do tyłu, by odzyskać równowagę. Drugi z robotów zatrzasnął mu kajdany wokół rąk, kiedy Virginia z nim walczyła.

— Nie, Ginny! — zawołał, zaprzestając jednocześnie dalszej walki. — To nie ma sensu, kochanie.

Zatrzymała się, a wtedy robot szarpnięciem wykręcił jej ręce do tyłu i zapiął drugie kajdany na jej nadgarstkach.

Uśmiechnęła się w stronę jego ponurej, chmurnej twarzy.

— Przynajmniej spróbowaliśmy, Bob. Po prostu byli dla nas zbyt wielcy.

Potem roboty wykorzystały trzecie kajdany, dłuższe niż poprzednie dwa komplety. Poczuł jak chłodny metal otacza mu kark i usłyszał zatrzaskujący się zamek. Drugi ich koniec został zamknięty wokół szyi Virginii.

Drzwi celi otworzyły się i dowódca strażników zakomenderował:

— Naprzód marsz. Roboty wami pokierują.

Ruszyli przed siebie, otoczeni przez kordon robotów, trzymających ich ramiona w stalowych palcach. Zapięte wokół szyj więźniów kajdany, grzechotały w rytm kolejnych kroków, łącząc ich razem jak parę schwytanych dzikich zwierząt. Bob zastanawiał się, czy łańcuch stanowi tylko kolejne zabezpieczenie, które ma zapobiec ich ucieczce, czy też jego użycie było celowym aktem pogardy. Tharnarianie bali się ich, i ten strach powodował, że ich nienawidzili. Czy takie celowe traktowanie więźniów, jakby byli zwierzętami, nie miało także na celu podbudowy morale Tharnarian?

Wyszli na dwór, na chłodne poranne powietrze, znajdując się na niewielkim dziedzińcu, z czarną kamienną ścianą po jego przeciwległej stronie. Niebo miało ponuro szary kolor, a powietrze przesiąknięte było deszczem, spadającym w postaci zimnej mgły. Kiedy podniosła głowę, żeby spojrzeć na niego, jej twarz była cała mokra od deszczu.

— Ostatnia prosta, Bob.

— Przejdź ją wyprostowana i równym krokiem, Ginny. Oni nas obserwują.

— A jakże inaczej mielibyśmy to zrobić? — spytała go spokojnie.

Podeszli do ściany, w miejscu, w którym w kamieniu umocowany został metalowy pierścień. Do pierścienia przypięty był łańcuch, i kiedy roboty obróciły ich wokół siebie, plecami do ściany, wolny koniec łańcucha został zapięty pośrodku kajdan łączących ich szyje.

I znów, to mógł być tylko dodatkowy środek ostrożności. Albo mogła to być ostateczna próba zamiany ich egzekucji w zwykłe zastrzelenie pary niebezpiecznych zwierząt. Oczywiście, nie żeby miało to jakieś faktyczne znaczenie…

Dwa z uzbrojonych robotów, które przyszły razem ze strażnikami, zajęły teraz pozycję dwadzieścia stóp przed nimi, trzymając w metalowych dłoniach blastery. Roboty, które ich przykuły, odeszły w jedną stronę na bok, żeby zejść z linii strzału. Dowódca strażników uniósł rękę, spoglądając na zegarek i coś powiedział do robotów. Na jego słowa roboty uniosły trzymane blastery i wycelowały je, jeden z nich prosto w serce Virginii, drugi zaś Boba.

Ale oczekiwany wystrzał nie następował. Dowódca strażników nadal obserwował tylko swój zegarek. Najwidoczniej, pierwsza komenda oznaczała jedynie „Cel”. Komenda „Pal” miała zostać wydana kiedy wskazówki na zegarku ustawią się na znaczku trzydzieści trzy.

Ramię Virginii, opierające się o jego rękę, było ciepłe. Ale jej dłoń, za plecami, kiedy znalazł ją swoją ręką, była zupełnie zimna.

— Oszukali nas — powiedziała. — Mieliśmy dostać cały pluton egzekucyjny.

Dowódca strażników wydał kolejną komendę i rozległo się podwójne kliknięcie. Roboty wcisnęły przyciski odbezpieczające broń. Virginia po raz pierwszy lekko się zachwiała. Ruch ten był zbyt słaby, aby dostrzegli go Tharnarianie, a poza tym niemal natychmiast go opanowała.

— To… Ze mną wszystko w porządku — powiedziała. — Wcale się nie boję, Bob.

— Oczywiście, że nie, Ginny… oczywiście, że nie.

Dowódca strażników ponownie skupił swoją uwagę na zegarku i tak mijały kolejne sekundy; długie sekundy, w czasie których jedynym dochodzącym do nich dźwiękiem był niemal niesłyszalny odgłos deszczu uderzającego o znajdującą się za ich plecami ścianę. Virginia uniosła głowę i spojrzała na niego po raz ostatni, jej twarz była mokra od zimnej mgły.

— Dobrze nam było razem, Bob. Nie spodziewaliśmy się może, że koniec przyjdzie tak szybko, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że może on nastąpić w każdej chwili. Odejdziemy razem i zawsze chcieliśmy aby to się stało w taki właśnie sposób, niezależnie od tego gdzie i kiedy.

Potem znowu dumnie się wyprostowała i czekali, z deszczem szumiącym na ścianie za nimi, tworzącym kryształowe łzy na łańcuchu zapiętych na ich szyjach kajdan. Już się nie chwiała, stała prosto obok niego, i wiedział, że nie zrobi tego w chwili, kiedy nadejdzie koniec.

Dowódca strażników opuścił rękę z zegarkiem, tak jakby nie musiał już dłużej na niego patrzeć. Obrzucił ich króciutkim spojrzeniem, a następnie odwrócił się do robotów, z wypisanym na twarzy rozkazem, który miał właśnie wydać.

Dłoń Virginii zacisnęła się na jego dłoni w pożegnaniu i poczuł, że puls na jej nadgarstku pędzi mocnym i szybkim rytmem. Ale stała z uniesioną głową, spoglądając w lufy blasterów i po chwili oboje usłyszeli ostatnią komendę dla swoich katów-robotów.

— Dorend thendar!

T*rzydziesta trzecia jeden*.

Tal-Karanth ponownie spojrzał na wiszący na ścianie zegar. Trzydziesta trzecia jeden. Za jedenaście krótkich odcinków czasu, Terranie nie będą już istnieć.

Czymże jest życie? Jaki jest cel, który za tym wszystkim stoi. Po pięćdziesięciu tysiącach lat Tharnarianie nie byli ani kroku bliżej odpowiedzi na to pytanie niż ich przodkowie. Dlaczego w ogóle musiało istnieć życie? Dlaczego nie istnieją tylko gwiazdy i planety, stworzone z przypadku i pozbawione życia? A nawet dlaczego istniały same gwiazdy i planety, miliony galaktyk pędzących przez niezmierzone ogromy czasu i przestrzeni. Dlaczego istniał wszechświat i dlaczego było w nim życie? Dlaczego nie, po prostu… nic?

Barbarzyńcy wyruszyli w kosmos po odpowiedź na to pytanie zaledwie sto lat po zbudowaniu swoich pierwszych statków międzygwiezdnych. A tharnariańskie statki międzygwiezdne nie znalazły się poza swoim układem od pięćdziesięciu tysięcy lat. Żaden Tharnarianin od pięćdziesięciu tysięcy lat nie był dalej, niż na Vendal.

Dlaczego Tharnarianie utracili swoją ciekawość? Ciekawość i żądzę wiedzy, która stworzyła dawną chwałę Tharnar?

Znowu pomyślał o tym, czego się dowiedział poprzedniej nocy. O jednym z powodów, dla których Terranie nazwali swój statek *Kot*. Zrobili

to nie dlatego, że koty były niebezpiecznymi zwierzętami, tak jak sobie pomyśleli inni. Powodem było, że *Kot* wyruszał na wyprawę odkrywczą w nieznane obszary, zaś pewne stare terrańskie przysłowie głosiło: „Ciekawość zabiła kota”. Nie rozumiał jeszcze drugiego powodu stojącego za wyborem tej nazwy, ale ten pierwszy pokazywał wyraźnie, że Terranie nie byli pozbawieni poczucia humoru. Jak wiele czasu już minęło, odkąd słyszał że Tharnarianin śmieje się z samego siebie, ze swoich własnych słabości albo możliwości porażki? Niemożliwe.

A jednak… czy to nie był objaw dumy? Co złego było w górnolotnej dumie, która nie dopuszczała słabości, ani możliwości porażki? Czy pięćdziesiąt tysięcy lat cywilizacji nie było czymś, z czego można było być w najwyższym stopniu dumnym?

Trzydziesta trzecia pięć.

Podszedł do okna i nacisnął przycisk, który pozwalał je otworzyć, pomimo mechanicznych zabezpieczeń automatycznego systemu ochrony zdrowia. Rozsunęło się na całą szerokość i odetchnął chłodnym, wilgotnym powietrzem, pachnącym mokrą ziemią i trawą, wonią kwiatów drzew *lana*; kwiatów, które były zamknięte z powodu deszczu i nie otworzą się aż do chwili, kiedy ponownie zacznie świecić słońce.

Miasto było jeszcze zupełnie ciche, śpiąc w szarościach poranka. W całej widocznej z okna części Miasta, dostrzegł tylko jednego pieszego i trzy przejeżdżające pojazdy. Miasto, podobnie jak kwiaty drzew *lana*, nie otworzy się do życia, zanim nie skończy się burza i nie zacznie świecić słońce.

Trzydziesta trzecia dziewięć.

Miasto, jak kwiaty drzew *lana*. Piękno i doskonałość obu tych tworów, było wynikiem pięćdziesięciu tysięcy lat hodowli, w kierunku tej doskonałości. Miasto, jak kwiaty drzew *lana*…

Ale kwiaty istniały bez żadnego celu. Ich istnienie było tylko – wegetacją.

A jaki był cel istnienia Miasta?

Nie wiedział. Był Najwyższym Zarządcą Tharnar i tego nie wiedział.

Trzydziesta trzecia dziesięć.

Wrócił do biurka i włączył trójwymiarową projekcję sceny, która miała za chwilę rozegrać się na dziedzińcu za więzieniem.

Mężczyzna i dziewczyna stali przykuci kajdanami do ściany, a roboty czekały już tylko na trzecią i ostatnią komendę dowódcy strażników. Blastery w ich rękach były równie nieruchome, jakby tkwiły w imadłach, a na metalowych twarzach nie widać było śladów uczucia. Powiększył scenę, przysuwając bliżej do siebie obrazy mężczyzny i dziewczyny. Na twarzy mężczyzny nie można było wyczytać niczego, poza twardością i brakiem strachu. Ale na twarzy dziewczyny widać było wyzwanie, które zdawało się jaśnieć wokół niej jak aureola. Przypomniał sobie o fizycznym podobieństwie między barbarzyńską dziewczyną a swoją córką. Ale w tym momencie podobieństwo zniknęło, stając się tylko swoim cieniem. W barbarzyńskiej dziewczynie było coś żywego, coś witalnego. Sposób w jaki czekała na śmierć dodawał jej piękna, które według tharnariańskich standardów było czymś dziwnym i dzikim.

Jak to Thralna powiedziała poprzedniej nocy? „…*Już na samą myśl, że mogliby uciec i wydostać się do Miasta, czuję prawdziwe przerażenie*.”

– *czuję prawdziwe przerażenie* –

A co by było, gdyby to Thralna stała przed tymi robotami? Czy patrząc w czarny otwór lufy blastera i wiedząc, że pozostało jej już tylko kilka uderzeń serca, potrafiłaby zachować tharnariańską dumę? Czy stawiła by czoła śmierci z takim śmiałym wyzwaniem jak ta barbarzyńska dziewczyna? Czy też upadłaby na ziemię i zaczęła błagać o darowanie jej życia?

Znał odpowiedź na te pytania. Ale to nie była wina Thralny, że była taka jaka była. Ona była tylko taka sama jak wszyscy inni Tharnarianie.

Trzydziesta trzecia jedenaście.

Jakże różnili się między sobą, ta dwójka barbarzyńców oraz mężczyźni i kobiety zamieszkujący Tharnar. A jednak różnica ta już za parę chwil przestanie istnieć. Kiedy mężczyzna i dziewczyna będą martwi, kiedy całe życie oraz jego niespokojne popędy wypłynie z nich na dobre i będą leżeli bez ruchu na zimnej, mokrej ziemi, wtedy będą wyglądali zupełnie tak samo jak Tharnarianie.

Jak to było, umrzeć o chłodnym poranku, na obcej planecie, tysiąc lat świetlnych od domu? Ale przecież musieli wiedzieć, że coś takiego może im się przydarzyć. Nawet z tego powodu nazwali swój statek *Kot*. Z tego powodu i jeszcze jakiegoś…

Nagle, zupełnie jasno, zrozumiał drugi powód stojący za nazwą ich statku.

Trzydziesta druga dwanaście.

Dowódca strażników opuścił rękę, aby wydać robotom ostatnią komendę. Myśli Tal-Karantha pędziły mu przez głowę galopem, jasno i wyraźnie uświadomił sobie dwie rzeczy.

Zdał sobie sprawę z nieubłaganego upadku Tharnar i Miasta, trwającego przez kolejne stulecia, aż do chwili kiedy ostatnia mała iskierka, która jeszcze przetrwa, wypali się do końca i zniknie. Zobaczył również oczyma wyobraźni, jak śmierć ściera dzikie i gwałtowne piękno barbarzyńskiej dziewczyny, jak znika ono razem z wypływającym z niej życiem, zastępowane innym rodzajem piękna, dla kontrastu, zupełnie bezbarwnym, podobnym do piękna kwiatów *lana*… albo tharnariańskich kobiet.

I pomyślał, że zna już odpowiedź na zagrożenie, przed którym stoi Tharnar i Miasto.

— *Dorend*…

Właśnie padło pierwsze słowo komendy wydawanej przez dowódcę strażników. Palec Tal-Karantha pośpiesznie uderzył w jeden z przycisków na jego biurku. Wcisnął go, aby dezaktywować wykonujące wyrok roboty, które zamarły bez ruchu w chwili kiedy padało ostatnie słowo:

— …*thendar*!

Pstryknął przełącznikiem, łączącym go z biurem oficera służb bezpieczeństwa Ten-Quotha i polecił:

— Proszę natychmiast zdjąć Terranom kajdany i dopilnować, aby otrzymali oni wygodne i niestrzeżone kwatery. Proszę również im oznajmić, że zostali ułaskawieni przez Najwyższego Zarządcę oraz że mogą swobodnie opuścić Tharnar, kiedy tylko będą sobie tego życzyli.

Właśnie nadeszła pełnia poranka następnego dnia, jasnego i ciepłego, zaledwie z kilkoma kłębiastymi białymi obłoczkami dryfującymi po błękitnym niebie. Tal-Karanth ponownie stał koło okna, z Vor-Dergalem u boku, i obserwował jak Miasto budzi się do życia, powoli i leniwie, tak samo jak budziło się do życia każdego poranka w czasie ostatnich pięćdziesięciu tysięcy lat.

Vor-Dergal spoglądał na *Kota*, którego rampa wejściowa została już wciągnięta do środka, a śluzy powietrznych pozamykane.

— Gotowi są do odlotu — powiedział. — Mam nadzieję, że podejmując taką a nie inną decyzję, nie popełniłeś błędu. Inni Terranie teraz dowiedzą się o nas, a kiedy tutaj przybędą… — Zawiesił zakończenie zdania w powietrzu.

— Dzięki przybyciu Terran możemy naprawdę dużo zyskać — stwierdził w odpowiedzi Tal-Karanth. — A do stracenia mamy raczej niewiele.

— Niewiele mamy do stracenia? — spytał go Vor-Dergal. — Mamy do stracenia Tharnar i Miasto; mamy do stracenia nasz sposób życia i całą naszą cywilizację.

— Tak… naszą cywilizację — zamyślił się Tal-Karanth. — Naszego boga, którego czciliśmy bezgranicznie… naszą cywilizację. Pomyśl tylko, Vor… posłuchaj, co ci mam do powiedzenia.

— Tej nocy, kiedy Terranie czekali na swoją śmierć, bardzo długo rozmyślałem. Obawiam się, że coś takiego wydarzyło się prawdopodobnie po raz pierwszy od tysięcy lat. Tharnarianin zaczął krytycznie się przyglądać tharnariańskiemu stylowi życia. Rozpocząłem od samych początków, ponad pięćdziesiąt tysięcy lat temu, kiedy międzygwiezdne statki Tharnar były naprawdę międzygwiezdne i obsadzone przez ludzi, a nie przez roboty.

— Mieliśmy dobry początek, jeśli chodzi o naszą międzygwiezdną eksplorację, ale zbyt długo przy niej nie wytrwaliśmy. Chcieliśmy nawiązać związki z cywilizacjami na naszym poziomie i żadnych nie odnaleźliśmy. Nie próbowaliśmy nawiązać kontaktów z okrytymi przez nas rasami prymitywnymi. Uważaliśmy, że nie ma sensu tracić na to czasu. Tharnar był centrum najwyższej – i w dodatku jedynej – cywilizacji w całych przebadanych przez nas regionach galaktyki, a młodsze rasy nie miały nam nic do zaoferowania.

— W końcu nadeszły czasy, kiedy przestano wysyłać kolejne statki eksploracyjne. Ograniczyliśmy się do Tharnar i Vendal, otoczyliśmy je flotą opartą na robotach, aby utrzymać poza naszym terytorium niższe rasy, kiedy w końcu dowiedzą się jak budować statki kosmiczne. Sami

poświęciliśmy się naszej kulturze społecznej, pozwalając by przepełniło nas samouwielbienie połączone z pewnością, że tylko my, na Tharnar, posiedliśmy pełen rozkwit rozwoju cywilizacyjnego i postępu. Wycofaliśmy się do skorupy naszego samozadowolenia i każde kolejne pokolenie spędzało życie w wygodnej, metodycznej identyczności. A nasza flota robotów stała na straży, nie pozwalając aby jakakolwiek rasa nas niepokoiła, zakłócała naszą mądrość i spokój naszego stylu życia.

— Piętnaście tysięcy lat temu, ci spośród nas, którzy jeszcze pozostali na Vendal, wrócili do bardziej idealnego świata, jaki czekał na nich na Tharnar. Do tego czasu pojawiło się na Tharnar mnóstwo miejsca. Liczba ludności zmniejszała się już od tysięcy lat – i spada do dzisiaj. Kobiety nie chcą już mieć dzieci – to dla nich tylko niewygoda. One chcą komfortu; pełnego brzucha, miękkich dotyków, opieki swoich robotów. A mężczyźni są tacy sami.

— Już nie ma żadnej motywacji do tego, by na Tharnar żyć inaczej niż tylko powielając sposób życia naszych przodków. Nie pojawia się nic nowego, bo przecież nie można zrobić niczego, czego nie zrobiono by wcześniej i lepiej. Wobec tego zamknęliśmy się w egzystencji pełnej spokojnej satysfakcji, ze status quo zmieniającym się w wegetację. Jesteśmy jak te rośliny, które wysiewano na tym samym polu przez tak wiele stuleci, że wyjałowiły one ziemię w której rosną. To bezpłodne pole, w którym wzrastamy, to nasza forma cywilizacji.

— Vor, czy nie widzisz ku czemu to wszystko zmierza?

Myślał, że stary Vor-Dergal odpowie mu gorącą obroną tharnariańskiej cywilizacji, ale tak się nie stało. Zamiast tego powiedział:

— Jeżeli obecny trend się utrzyma, to rychło nadejdą czasy w których więcej będzie pilnujących robotów w statkach strażniczych niż Tharnarian do pilnowania. Ale czy destrukcja z rąk barbarzyńców jest lepszym rozwiązaniem?

— Destrukcja? Są dostatecznie silni, aby nas zniszczyć, ale czemu mieliby to robić? Przyjęcie tego będzie dla wielu Tharnarian niemiłym zaskoczeniem, ale bezstronne studia nad Terranami, wskazują, że oni wcale nie chcą tego co mamy na Tharnar i w Mieście. Nie uważają Tharnar i Miasta za wartych kłopotów związanych z podbojem.

— To tylko przypuszczenia — odparł Vor-Dergal. — A nawet gdybyś miał rację i Terranie nie przybędą tutaj aby nas zniszczyć – co możemy zyskać, podejmując takie ryzyko?

— Nowe życie. Zbyt długo pozostawaliśmy na jałowym polu naszej cywilizacji. Utraciliśmy ciekawość, pragnienie poznania, poczucie humoru, które pozwalałoby nam czynić uczciwe samo-oceny, naszą dumę i odwagę. A tracąc te wszystkie rzeczy, utraciliśmy również żądzę przetrwania naszej rasy.

— Albo, popatrz na Miasto dzisiejszego ranka. Spójrz jak niemrawo się ono porusza; posłuchaj jaka cisza panuje w mieście liczącym niemal milion mieszkańców. Czy wiesz, czym ten dzień jest dla Miasta? To tylko jeszcze jeden krok, który zostanie dodany do tych wszystkich tysięcy kroków z przeszłości, w drodze Miasta do śmierci.

— Terranie mają to, co my utraciliśmy. To młoda rasa, której witalność płonie jak ogień, podczas gdy nasza własna jest jak dogasająca iskra. To właśnie z tego powodu wypuściłem tych dwoje. Dlatego chciałem, by inni z ich gatunku dowiedzieli się o Tharnar i tutaj przylecieli. Jeszcze nie jest dla nas za późno; jeszcze nie jest za późno na kontakt z tymi Terranami, żeby przywrócili nam te wszystkie rzeczy, które utraciliśmy.

W przerwie, która nastąpiła po jego słowach, ciszę Miasta nagle rozdarł grzmot silników *Kota*. Statek zaczął się unosić, lśniący, smukły i pełen gracji, a po chwili wystrzelił w błękitne niebo. Tal-Karanth obserwował go, do chwili kiedy nie zmienił się w jasną gwiazdę, bardzo odległą i z każdą chwilą oddalającą się w leżące za nim bezmiary wszechświata; do chwili kiedy dźwięk jego silników nie zaczął cichnąć, by w końcu umilknąć.

Odwrócił wzrok od nieba i ponownie spojrzał na powolne, łagodnie szepczące Miasto. Miasto, które umierało i nie zdawało sobie z tego sprawy. Poczuł wzbierające w sercu uczucie nieokreślonego niepokoju, dziwne pożądanie czegoś. Uczucie tego rodzaju, pojawiło się u niego, po raz pierwszy w życiu. Było to coś, co opuściło Tharnarian tak dawno, że nawet odpowiednia nazwa w ich języku, została już zapomniana. Ale terrańskim określeniem na to, była „żyłka włóczęgowska".

— Niemal żałuję, że nie mogłem ruszyć w drogę razem z nimi, Vor — przyznał. — Oni lecą, by dotrzeć do serca galaktyki i spróbować znaleźć rozwiązanie tajemnicy Stworzenia. A my, na Tharnar, spędzamy nasze dni na sączeniu słodkich drinków podczas dyskusji o błahostkach, czekając aż słońce zacznie grzać dostatecznie mocno, abyśmy wyłonili się z naszych klimatyzowanych domów.

— Jeśli masz rację, sądząc, że Terranie nie przylecą tutaj, aby splądrować Tharnar i Miasto — powiedział Vor-Dergal, — to bardzo interesujące będzie dowiedzieć się, co odkryje ta dwójka kiedy dotrze do środka galaktyki. Oczywiście jeśli nie zginą na długo wcześniej, zanim w ogóle do niego dotrą.

— Myślę, że wrogie istoty, które napotkają na swej drodze, będą musiały się mocno napocić, żeby ich zabić — stwierdził Tal Karanth. — Zapłaciliśmy wysoką cenę za ich pojmanie, pamiętasz? Za nazwą ich statku stoją dwa terrańskie przysłowia. Zrozumienie tego drugiego zajęło mi sporo czasu, ale kiedy mi się to udało, uświadomiłem sobie prawdziwe rozmiary determinacji i wiary we własne siły Terran.

— Ich misja miała polegać na badaniach nieznanych regionów kosmosu. Wiedzieli, że będzie to niebezpieczne, bardzo niebezpieczne. A więc nazwali statek *Kot*, częściowo z powodu starego terrańskiego powiedzenia: „Ciekawość zabiła kota". Ale to jest jedynie połowa motywacji stojącej za tą nazwą. Chcieli dotrzeć do centrum galaktyki i nie mieli zamiaru pozwolić, aby ktokolwiek im w tym przeszkodził. Stąd drugie powiedzenie, kryjące się za nazwą ich statku: „Kot żyje dziewięć razy".

KONIEC